

cault. Nie twierdzą przytem wcale, że doktor mu się zwierzył, mniemam tylko, że mógł go użyć jako bezwiedne narzędzie swojej woli...

— Kiedy?

— Przedewszystkiem chłopiec siedział zwykle co wieczór na straży w gabinecie doktora, który tymczasem, w swoim pokoju sypialnym, najspokojniej upijał się eterem... Wiemy, że w nocy, gdy popełniono zbrodnię, był w gabinecie. Doktor urczywał, że to Jakóbek zawiadomił go, że Laborda chce rozmawiać z dyrektorem... Gdyby Jakób pragnął mówić i powiedzieć prawdę, dowiedzielibyśmy się niezawodnie, że Laborda nie wzywał nikogo. Następnie, jest rzeczą prawie nie ulegającą wątpliwości, że to Jakóbek z rozkazu doktora Jintota wsadził akcy do walizki Mikołaja. Ktoby zdołał wyciągnąć z niego to wyznanie, dostarczyłby podstawy do wydania wyroku, skazującego doktora na...

— Lecz proszę mi powiedzieć — przerwała klucznica — dlaczego pani Manescault nie chciałaby wy badać Jakóbka?

— Bo doktor, przyciśnięty, wymieni Marcelego jako swego współnika.

Pani Lucas zauważyła:

— W tem wszystkim, co pan mówi, widzę wyraźnie, jaką rolę w sprawie odgrywa doktor Jintot, nie widzę jednak dotąd roli Marcelego... Chociaż prawdopodobnie musi być winowajcą!

Berthaut uderzył pięścią w stół, od czego zadzwoniły puste kieliszki, które pani Lucas pospieszyła napełnić na nowo.

— Czy jest winowajcą?... Chcesz pani, żebym ci na to dał dowód?

— Och! niezawodnie, że chcę! — wybełkotała wdowa, dysząca ciekawością.

— Powtórzę pani, co biedny Sempuis zeznał sędziemu śledczemu. Znalezione w walizce mego towarzysza pięćkreć sto tysięcy franków, które stanowiły część łupu doktora Jintota... Pozostaje zatem półtora miliona do odkrycia...

— Tak! Gdzież one być mogą?

— Idź pani do parku... aż do groty, wznoszącej się w pośród przestrzeni, odarniowanej murawą. Poszukaj pani pod wielkim kamieniem, wysuwającym się z guntu tuż przy sadzawce... i tam, w pudełku blaszanym, ujrzyś pani plik papierów wartościowych, dosięgających sumy miliona franków!

— Nie może być! — zawołała wdowa, niemal ogłuszona ogromem kwoty.

— A kogo widział Mikołaj Sempuis ukrywającego ją w nocy... mniej więcej w ośm dni po popełnionej zbrodni?

— Kogo?... kogo? — dyszcząca niecierpliwością, pytała pani Lucas.

— Marcelego Robertina.

— Jego?... Ach, potwór! Iotr! kanalia!... Milion! Skradł milion!... Jak podobne rzeczy dziać się mogą na świecie!

Berthaut machnął parę razy ręką.

— Cicho! cicho!... Bądźże pani ostrożna!

— Czy sędziowie wiedzą o tem?

— Tak!

— Dlaczegoż go nie aresztują?

— Bo jedynym jego oskarżycielem jest Sempuis, człowiek sam podejrzany, którego świadectwo może być fałszywe.

— Mój Boże! Tam w parku leży milion! Gdyby jednak kto inny o tem się dowiedział i zabrał pieniądze?

Berthaut uśmiechnął się.

— Proszę co do tego uspokoić się zupełnie! To rzecz niemożliwa!... Niema już tam rzeczywistego miliona... Policja stwierdziła przedewszystkiem, czy zeznanie Mikołaja było prawdziwe...

— I znaleziono?

— Znalezione pudełko i jego zawartość nie tkniętą! Zabrano akcy i zastąpiono je plikiem byle jakich papierzyków tej samej grubości, pudełko zaś zakopano w tem samym miejscu.

— Dlaczego?

— Bo chcą pochwycić Marcelego w chwili właśnie, gdy już uspokojony, pójdzie szukać skarbu.

Pani Lucas aż wrzasnęła z radości.

— Ach! jak to dobrze pomyślane!... Więc Sempuis widział go na własne oczy?

— Tak. Odbywał wtedy inspekcję nocną... Po-

śłyszał otwierające się drzwi domu. To go zdziwiło... Ukrył się więc za krzakiem i dostrzegł brata pani Manescault, wychodzącego po cichu i tajemniczo... Poszedł za nim i przyglądał mu się pilnie, gdy on zakopywał pudełko...

— A sam do pudełka nie zajrzał?

— Przeciwnie... Po oddaleniu się młodego człowieka zajrzał natychmiast!

— I nie zawiadomił policyi zaraz?

Berthaut wzruszył ramionami.

— Chyba pani rozumie, że rozsądek nakazuje nie zaczepiać ludzi, stojących na pewnym stanowisku. Zwykle pozostawia się im samym możność rozwikłania sieci, w które się zaplątali... Mikołaj zachował rzecz całą w sekrecie i zrobił dobrze, bo w danej chwili posłużyła mu ona do własnej obrony...

Pani Lucas, zdenerwowana pozornie opowiadaniem, oświadczyła:

— Ach! od tego wszystkiego macie mi się będzie ciągle w mózgu! W nocy, gotowa mnie dusić zmora!... Wreszcie powiedz mi pan, kto tu u nas ma doktora i Marcelego na oku?



— Lecz proszę mi powiedzieć — przerwała żwawo klucznica — dlaczego pani Manescault nie chciałaby wy badać Jakóbka?...

Dozorca uśmiechnął się.

— Jaki? Nie domyślasz się pani?

— Daję słowo, że nie!... Może pan?

Berthaut wzruszył ramionami.

— Przecież ja nie jestem szpiclem!

Ona starała się wytlómaczyć.

— Bo... bo nie to chciałam powiedzieć...

— Nie obrażam się wcale, tylko, widzi pani, ja nie posiadam odpowiedniej zręczności. Gdybym ich szpiegował, obaj poznaliby się na tem od razu. Tego rodzaju rzemiosło, proszę pani, trzeba mieć we krwi.

— Kóż w takim razie?

Wszakże w ostatnich dniach przyjęliście do służby nową pokojówkę i nowego lokaja?

— Tak! Dla zastąpienia oddalonej Berty i starego Piotra, który sam podziękował za służbę.

— Otóż, widzi pani... Eugeniusz i Marya są agentami policyjnymi.

Wdowa aż podskoczyła na krześle.

— O, mój Boże! Czy to prawda?

— Najprawdziwsza!

— Ach, panie Berthaut, wołałabym nie wiedzieć o tem... To robi na mnie takie dziwne wrażenie... takie dziwne...

On uśmiechnął się złośliwie.

— A jednak właśnie chodziło o to, żeby pani wiedziała... Pan komisarz Guillaume powiedział mi, żebym panią uprzedził przy pierwszej sposobności... trzeba bowiem, abyś tym dwojgu ludziom ułatwiła wszelkie poszukiwania...

— W jaki sposób?

— Użyczając w danym razie kluczy, gdy ich zażądają... A przedewszystkiem nie przeszkadzając im do szpiegowania, gdy ich pani spostrzeże w miejscach, w których, w znaczeniu ściśle służbowym, nie mieliby co robić!

Pani Lucas klasnęła w dłonie.

— Więc to o to idzie! Rozumiem!... Już raz oboje przyłapałam na takim zajęciu... Miałam ich za próżniaków, uchylających się od roboty i kryjących po kątach...

— Właśnie z tego powodu postanowiono panią uwiadomić...

— I dobrze zrobiono! Odtąd, będę ślepa, głucha i niema!

Berthaut powstał z krzesła i uśmiechając się szyderczo, rzekł do klucznicy:

— Stracimy tylko my na tem, bo pani rozmawia w sposób bardzo interesujący.

ROZDZIAŁ XI.

Pod okiem policyi.

Doktor Jintot, idąc do siebie korytarzem, posłyszał jakiś szmer, który mu się wydał podejrzanym, więc stanął, przysłuchując mu się chwilę, poczem, zmarszczywszy brwi, wbiegł szybko do swego pokoju.

— Co pan tu robisz? — krzyknął z uniesieniem.

Zapytanie zwrócone było do Eugeniusza, nowego służącego, który bardzo starannie i pilnie woskował na przód, następnie froterował posadzkę.

Lokaj odpowiedział z uniżonością:

— Froteruję, proszę pana.

Twarz doktora wypogodziła się natychmiast, gdy we framu 'ze jednego z okien ujrzał siedzącego i czytającego Jakóbka idyotę.

Więc przemówił już nieco łagodniej:

— Proszę nie zajmować się moim pokojem, od tego jest Jakób!

Służący usprawiedliwiał się grzecznie:

— Nie wiedziałem o tem, panie doktorze... Pani Lucas przyjęła mnie specjalnie do froterowania, zdawało mi się zatem, że muszę doprowadzić do porządku posadzkę w całym domu... Zwłaszcza, że tu szczególnie nie jest czysto.

Doktor odprawił go lekkim skinieniem ręki.

— To dobrze! Dla mnie i tak wystarcza.

Służący uklonił się, zabrał szczotki, flanelowe płaty do wycierania posadzki i odszedł spokojnie.

Doktor z pewną gwałtownością zamknął drzwi za nim.

Jakóbek, który do tej pory nie poruszył się z miejsca, rzucił czytana książkę na stół i przystąpił do doktora Jintota.

— Szpicel... policya... — szepnął, zakłopotany nieco, swoim słodkim głosem, wymawiając każdy wyraz osobno, jakby jego umysł upośledzony utrudniał mu sformułowanie całego zdania.

Był to chłopiec bardzo szczupły, jasny blondyn, z głową względnie za dużą, do wysmukłej budowy całego ciała, a zwłaszcza do bardzo chudego tułowia. Niebieskie oczy miał jakby mgłą przysłonięte. Nie patrzył nigdy na przedmiot przed nim stojący, ani na osobę, z którą rozmawiał. Wzrok jego, jakby w siebie zwrócony, zdawał się ścigać jakąś wizję wewnętrzną.

Ubrany był skromnie, przepasany lokajskim fartuchem z niebieskiego płótna.

Doktor przyglądał mu się pilnie i rzekł żywo:

— Czy tak ci się zdaje?

Jakóbek zbliżył się do biurka i wskazał na szufladę.

— Gmerał tu... gdy wszedłem... Wówczas wziąłem książkę... i pozostałem...

(Ciąg dalszy nastąpi).